

665

„Aptekarz” muzealny

KAZIMIERZ KOŚCIUKIEWICZ

Recenzent, jak każdy człowiek, ma prawo do własnych upodobań, przekonań, sądów, me-
te osasami ulegać im bardziej niż zawodowemu nakazowi obiektywizmu. Ot, nie gustuje
w starociach, rupieciach i wszelkiego rodzaju ramotach — o ile rzecz nie posiada istotnych,
głębszych odniesień do współczesności i na się sprowadzać jedynie do koncerterskiego ozna-
kania.

Takie wyznaczenie wywoła zapewne święte
oburzenie melomanów. Wszak zamierzam zdać
relację z „Aptekarza” J. Haydna, ostatniej pre-
miery Opery Wrocławskiej. Chciałbym od ra-
zu uprzedzić ewentualne nieporozumienia. Nie
chodzi, broń Boże, o deprecjonowanie samego
dzieła, a zwłaszcza jego muzyki, posiadającej
najlepsze cechy klasycznego i haydnowskiego
stylu. Jej walory są bezsporne, pożytek z upra-
wienia — oczywisty (przede wszystkim dla do-
skonaleńca orkiestry), a fakt uzupełnienia re-
pertuaru o trzeciego klasyka wiedeńskiego (po
beethovenowskim „Fideliu” i „Weselu Figara”
Mozarta) — nader sensowny i celowy. A jed-
nak nie przemawia mi do przekonania to, co
demonstruje się w Muzeum Narodowym —
podczas odbywających się tam spektakli
„Aptekarza”.

Reżyser Halina Dzieduszycka umyśliła sobie
teatr w stylu „commedia dell'arte”. Pomysł
z pewnością trafny i adekwatny, sugeruje go
przecież samo nazwisko C. Goldoniego, pomy-
śłodawcy libretta (przetłumaczonego przez
Jolanę Kulmową). A głównym z motywów
takiego ujęcia, jak wyznała reżyserka, była
właśnie chęć ożywienia jego blakej, pustej
i doprawdy nudnawej treści. Temu służy więc
przede wszystkim wprowadzenie klasycznych
postaci „commedia dell'arte” w scenkach pa-
ntomicznych (w choreografii Teresy Kujawy),
a nawet i mówionych przez artystów baletu!
Odgrzywane jest więc niby to autentyczne
przedstawienie w jakimś prowizorycznym pa-
łacowym „theatrum”: gdzieś na dziedzińcu
wśród kolumnad, pomiędzy których wyłania
się zieleń łąk, a w oddali majaczy jakiś
starożytny zamek (to scenografia Marcina Jar-

nuzkiewicza). Wszystko to niewiele zmienia w
ogólnym wrażeniu „robionego” eksponatu mu-
zealnego, niczym szczególnym się nie wyróż-
niającego. Nie umniejszam walorów czysto
poznawczych takiej koncepcji, lecz dla poję-
cia teatru żywego i aktualnego to trochę
za mało. Tyle uwag subiektywnych i pewnie
dotyczących strony nie najważniejszej.

Obiektywnie zaś należy przyznać, że pod
względem warsztatowym cała realizacja jest
prawie bez zarzutu. Jest wreszcie muzyka.
I tutaj świetnie spisują się niemal wszyscy
wykonawcy. Przede wszystkim przygotowani
orkiestry przez Adama Polkę zasługują na sło-
wo szczerzego uznania. Zaś samo prowadzenie
muzyczne przedstawienia w niezwykle trud-
nych warunkach akustycznych (orkiestra u-
mieszczona z boku widowni) wymaga szczegól-
nych wysiłków od dyrygenta, instrumental-
istów i śpiewaków. W obsadzie solistów o prym
artystyczny wiodą szlachetną walkę zawsze
nienapanna Krystyna Tyburowska i pełna wi-
goru, błyszcząca swą koloraturą Urszula Sui-
końska (jako Grilletty), przynoszący swą ko-
lejną wielką kreację Antoni Bogucki i nie
mniej charakterystyczny Krzysztof Sitarońki
(Sempronio), prawie tak samo interesujące
Barbara Figa i Jolanta Zielińska (Volpino),
wreszcie — swobodni i ujmujący aktorsko
Wiesław Pietrzak i Tadeusz Cimaszewski
(Mengone).

W sumie więc bilans artystyczny spektaklu
dowodzi jego niewątpliwych walorów. Mimo
wszystko więc zachęcam wszystkich do wizy-
ty w Muzeum Narodowym (licę miejsc nie-
wielka!), a realizatorów proszę o wybaczenie
mi szczerości.